Od Łupi do Parany i Amazonki. Część II.

Juan Griego Puesta del sol

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Druga i ostatnia moja wyprawa do Gujany miała miejsce kilka tygodni później. Tym razem poleciałem samolotem do Ciudad Guayana, miasta powstałego w 1961 roku z połączenia dwóch miast: Puerto Ordaz i San Félix. Tam czekała na mnie młoda przewodniczka, Margaret Fliegelmann i kierowca, oboje z Wenezuelskiej Korporacji Gujany, instytucji powołanej do promocji całego regionu. Niedaleko hotelu, punkt widokowy na ogromny wodospad *Salto de la Llovizna* na rzece Caroní, w niewielkiej odległości od jej ujścia do Orinoko. Jego nazwę można by przetłumaczyć jako „Wodospad Mżącego Deszczu", co w pełni oddaje rzeczywistość, bo rozpryskujące się masy wody tworzą wokół bezustannie padający drobny deszcz. W programie było nawet zwiedzanie nowoczesnej huty żelaza SIDOR, w specjalnych białych kaskach, a jakże! W pobliżu, w Masywie Gujańskim, znajdują się bardzo bogate złoża rudy żelaznej.

Park La Llovizna

Znacznie bardziej interesowały mnie jednak ruiny kościoła Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia i klasztor Kapucynów Katalońskich, z 1724 roku, w pobliżu miasta San Félix, a nade wszystko nagrania wywiadów z byłymi zbieraczami kauczuku w puszczach gujańskich. Boom kauczukowy rozkwitł w latach 20-tych XX wieku właśnie na tych terenach. W tutejszych lasach rośnie drzewo *purguo (Mimusops Balata)*, którego sok zwany *balatá* służył do produkcji gumy. Pracę zbieraczy *balatá* opisuje

między innymi Gallegos w swej powieści *Canaima*. Jej akcja rozgrywa się częściowo w miasteczku Upata (odległym o 56 km od San Félix) i jego okolicach. Aż tam dotarliśmy, bym mógł nagrać kilka interesujących rozmów z mieszkańcami pamiętającymi ową kauczukową eksplozję, a także podróż Gallegosa po Gujanie. Ładnie prezentuje się tonąca wśród drzew Upata ze szczytu wielkiej czarnej skały Najświętszej Panny Marii (*Laja de Santa María*).

Pochodząca z rodziny Żydów węgierskich Margaret Fliegelmann wyznała mi na pożegnanie, że bardzo bała się być przewodniczką Polaka, „bo przecież wiadomo jakimi antysemitami są Polacy". Na co ja: „I co, ja też okazałem się takim antysemitą?". „Zupełnie nie – odparła – i właśnie dlatego Panu tak szczerze o tym mówię". Spotkaliśmy się raz jeszcze w Caracas i wręczyła mi w prezencie obszerny wybór opowiadań Cortázara i *Nie ma kto pisać do pułkownika* Garcíi Márqueza, oczywiście w oryginale. Przy okazji opowiedziała mi, że synowa, a może córka Teodora Delgado, pseudonim *El Mocho* (Bezręki), w mocno zaawansowanej ciąży podczas naszej wizyty i moich nagrań u niego w domu, pod Upatą parę tygodni wcześniej, już urodziła córeczkę, której nadano imię …*Visitación* (Nawiedzenie), właśnie na cześć naszej wizyty. Margaret dowiedziała się o tym osobiście, gdyż odwiedziła ponownie rodzinę Teodora Delgado jadąc do El Callao, daleko w głębi Gujany.

Wyższy Instytut Pedagogiczny w Caracas

Wszystko, co opisałem w niniejszym rozdziale rozegrało się zaledwie w ciągu trzech miesięcy: w maju, czerwcu i lipcu 1972 roku, W sierpniu byłem pochłonięty załatwianiem pracy w Instytucie Pedagogicznym oraz poszukiwaniem mieszkania dla nas obojga po ślubie. Chodziło o to, by zamieszkać jak najbliżej Instytutu. Udało mi się znaleźć trzypokojowe mieszkanie w sześciopiętrowym budynku o nazwie *El Marqués* (Markiz), przy *Avenida Libertador* (Alei Wyzwoliciela, czyli Bolivara) na osiedlu *La Paz* (Spokój), w dzielnicy *El Paraíso* (Raj), tej samej, w której znajduje się Instytut Pedagogiczny. I to był jedyny plus, bo ostatnie dwie nazwy własne miały, jak się potem okazało, bardzo niewiele wspólnego z rzeczywistością, a zarówno ów Markiz, jak i Wyzwoliciel pewno wiecznie przewracają się do dziś w grobie na myśl, że spotkał ich wielce wątpliwy zaszczyt w owej oazie „rajskiego spokoju". Nigdy w życiu nie mieszkałem w bardziej hałaśliwym miejscu!

Rosario przyleciała do Caracas w pierwszych dniach września, a ślub odbył się 21 września 1972 roku w dzielnicowym Urzędzie Stanu Cywilnego San José, w starej, handlowej części miasta. Świadkami byli Doña Luisa i pan Lech Adamowicz, zamieszkały w Caracas od wojny weteran bitwy pod Monte Cassino, ożeniony

z Włoszką, panią Laurą. Był mi bardzo życzliwy i dość regularnie oferował mi pracę tłumacza na hiszpański głównie swych własnych tekstów dotyczących żeglarstwa i rybołówstwa. Były też na ślubie Olivia i Josefina Falcón i jeszcze parę osób z Instytutu Pedagogicznego. W urzędzie było więc luźno i przewiewnie, a mimo to biły na mnie siódme poty i czułem się w tych okolicznościach wybitnie nieswój.

Na prośbę nieobecnego Eduarda jego mama, doña Eva Gascue de Tamayo, urządziła dla nas i naszych gości przyjęcie poślubne u niej, czyli w domu Eduarda, pięknej willi *Cártama (*nazwa andaluzyjskiego miasteczka koło Malagi), przy Alei Róż w bardzo eleganckiej dzielnicy San Rafael de la Florida. Zaszczycił nas swą obecnością Ambasador PRL-u, bardzo kulturalny pan Witold Jurasz (1931-2004). Była też moja koleżanka ze studiów w Warszawie, Hanka Miaziówna, od kilku lat zamieszkała w Wenezueli. Byli świadkowie, a pozostałe osoby obecne to bliższa i dalsza rodzina Eduarda. Poza Doñą Evą rolę gospodyni pełniła także siostra Eduarda, Beatriz, biegając z tacą pełną kanapek i roznosząc napoje. W pewnym momencie zatelefonował z Rzymu Eduardo z życzeniami. Pośpiewaliśmy trochę i w asyście Doñii Evy odjechaliśmy do naszego mieszkania samochodem wypełnionym po brzegi wielkimi bukietami i koszami kwiatów, które nam sprezentowano, w tym głównie przepięknych orchidei. Gdy tak mknęliśmy nocnymi ulicami Caracas, milczenie przerwała Doña Eva, która siedząc obok kierowcy, nagle

odwróciła się ku nam i dobitnie podsumowała całe wydarzenie: „Żeby Hiszpanka przyjechała do Wenezueli po to, aby wyjść za mąż za Polaka, to już szczyt wszystkiego!”

Bogota

Nazajutrz wybraliśmy się w ośmiodniową podróż poślubną do sąsiedniej Kolumbii. Z żalem zostawiliśmy w mieszkaniu morze wonnych kwiatów i rano ruszyliśmy „zbiorową taksówką” (*carrito por puesto*) ku odległej granicy kolumbijskiej. Podróż była długa i męcząca. Po około 10 godzinach dotarliśmy do przygranicznego miasta Cúcuta, leżącego już w Kolumbii. Miejsce owo zaiste nie przedstawiało sobą nic godnego uwagi: jakieś budy, kramy, gdzie kwitnie przygraniczny handel, kurz, góry śmieci. Po Kolumbii podróżowaliśmy głównie samolotem i pierwszym etapem była stolica kraju, Bogota, wówczas dwumilionowe miasto usytuowane na wysokości 2.600 m, u stóp Andów Wschodnich, na skraju ciągnącej się na przestrzeni 130 km wyżyny śródandyjskiej zwanej *Sabana de Bogotá* (Bogotańską Sawanną). Zaskoczył nas stosunkowo chłodny klimat (średnia temperatura tylko 14 stopni Celsjusza) i prawie stale pochmurne niebo. Ze względu na częste opady zieleń otaczających miasto wzgórz była pod koniec września bardzo intensywna.

Choć od 1739 roku była stolicą Wicekrólestwa Nowej Grenady i jednym z najważniejszych miast kolonialnego imperium Hiszpanii, nie zachowało się w niej dużo zabytków z tamtej epoki, choć, oczywiście, jest ich więcej, niż w Caracas. Spośród nich najwspanialszym wydał mi się barokowy kościół *La Tercera* (Trzeciego Zakonu św. Franciszka) o bardzo bogatym wnętrzu. Jednak te nieliczne zabytkowe budowle giną wśród dość gęstego lasu wieżowców śródmieścia i nie tworzą żadnego zwartego zespołu, który można by nazwać Starym Miastem (poza dzielnicą *La Candelaria*). Na ulicach zwracają uwagę Indianie odziani w czarne lub szare poncza. Indianki noszą głównie szare kapelusiki. Mało tu natomiast ludzi pochodzenia afrykańskiego, jak zresztą we wszystkich innych wysoko położonych miastach andyjskich.

Niepowtarzalne wrażenie wywiera wizyta w tutejszym Muzeum Złota, należącym do Banku Narodowego Republiki. Zgromadzono w nim ponad 10 tysięcy wspaniałych ozdób ze złota i srebra: wisiorków, bransolet, napierśników, diademów, ozdób nosa, uszu i nóg, masek, kolczyków, a także posążków indiańskich królów i bożków oraz płaskich *tunjos*, czyli postaci wotywnych. Jednym z najciekawszych i najbardziej charakterystycznych eksponatów jest słynna miniaturowa tratwa ceremonialna przedstawiająca wystrojonego kacyka i jego sługi. Widzimy też naczynia, łyżki, spinki, szczypce. Efekt jest nadzwyczajny, bo zwiedzający przechodzą kolejno do nieoświetlonych sal i po

chwili zapalają się mocne światła w gablotach, w których umieszczone na czarnym aksamicie złote i srebrne ozdoby połyskują nieprawdopodobnie pięknym blaskiem! Taironowie (*taironas*), Czibczowie (*chibchas*) zwani też Mwiskami i Kimbajowie (*quimbayas*) byli przed Kolumbem znani z wyrafinowanych wyrobów ze złota i srebra, a ich kulturę określa się jako „złotą". To, co pozostawili po sobie i co tak wspaniale wyeksponowano w bogotańskim Muzeum Złota wzbudza najwyższy zachwyt i uznanie dla tych indiańskich artystów, którzy już przed wieloma wiekami znali przeróżne techniki obróbki złota i jego stopów.

Museo del Oro, Bogota

Museo del Oro, Bogotá

Było jeszcze Muzeum Sztuki Kolonialnej, Wodospad *Tequendama*, 28 km od Bogoty i kopalnia soli w Zipaquirá, 50 km na północ od miasta. Wodospad rozczarował nas zupełnie, bo choć spada w głębokim kanionie z wysokości 145 metrów, okazał

się wówczas dość wąską i na dodatek mocno cuchnącą strużką wody. Kopalnia soli imponuje wielkimi rozmiarami i wykutą w jej wnętrzu katedrą z godnymi uwagi ołtarzami rzeźbionymi w solnej skale. Kolumbijczycy podkreślają z dumą, że to jedyna taka katedra na świecie. Gdy próbowałem zaprzeczyć wymieniając Wieliczkę, przewodnik, korpulentny starszy pan, uciął krótko: „No tak, ale Wieliczka jest o wiele mniejsza". I tu musiałem przyznać mu rację.

Santa Marta. Kolumbia

Z Bogoty polecieliśmy do Santa Marta, jednego z większych miast nad Morzem Karaibskim i zamieszkaliśmy tuż nad nim, w Hotelu Irotama, 14 km na zachód od miasta. Wynajętym jeepem

dotarliśmy do trzech ciekawych miejsc w okolicy: 1. Willi San Pedro Alejandrino, gdzie w 1830 roku zmarł Simon Bolivar. Przekształcono ją w jego muzeum, w którym zgromadzono meble, mundury, dokumenty. Na dziedzińcu, nad pomnikiem Bolivara, rośnie ogromny, rozłożysty *samán* (*Samanea Saman*). 2. nad piękną zatokę Bahía Villa Concha w kształcie wielkiej półkolistej muszli, jak sama hiszpańska nazwa wskazuje. 3. do zamieszkanej przez Indian wioski rybackiej Taganga, położonej u stóp urwistych skał. Nad wspomnianą zatoką znajduje się jedna z piękniejszych plaż, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Niezwykle przejrzysta szmaragdowa woda pozwala na łowienie ryb ręką – sic! Zdarzyło mi się to tylko tam: chwyciłem pod wodą rybę flet (*pez flauta, Aulostomus maculatus*), którą zaraz zresztą wypuściłem z powrotem. Wokół wysokie wzgórza porośnięte niskimi drzewami i krzewami. Cała ta wycieczka do Bahía Villa Concha i do Tagangi, jazda jeepem przez cienisty tropikalny las to był z pewnością najprzyjemniejszy punkt programu całej wyprawy do Kolumbii.

Taganga

Z Santa Marta autobusem dotarliśmy do największego miasta kolumbijskiego nad Morzem Karaibskim, 600-tysięcznej wówczas Barranquilli. Po drodze wielkie rozlewiska Parku Tairona, usiane wystającymi z wody suchymi pniami i korzeniami martwych mangrowców. Barranquilla, ruchliwe, przemysłowo-handlowe miasto, nie oferuje zbyt wielu atrakcji turystycznych, ale stąd już blisko do Bocas de Ceniza, czyli Popielatej Paszczy. Tak nazywa się ujście największej kolumbijskiej rzeki Magdaleny,

która przecina cały kraj z południa na północ na długości 1350 km. W pobliżu Barranquilli wpada do Morza Karaibskiego i niesie ze sobą tyle szarej wody, że cały jej bezkresny zalew ma taki właśnie popielaty kolor.

Cartagena de Indias

Lot z Barranquilli do Cartagena de Indias trwa pół godziny i ani się obejrzeliśmy, jak znaleźliśmy się w tym arcyciekawym kolonialnym mieście otoczonym siedemnastowiecznymi murami obronnymi, bastionami i systemem fortec, z których najpotężniejsza, przypominająca jakąś wielką piramidę, zwie się *Castillo de San Felipe de Barajas* (Zamek św. Filipa z Barajas) na cześć królów hiszpańskich o tym imieniu. To głównie za panowania Filipów II, III i IV wzniesiono te potężne fortece, które broniły hiszpańskich portów w Ameryce przed atakami piratów i korsarzy, a potem także przed atakami floty angielskiej, francuskiej i holenderskiej. Cartagena de Indias była jednym z najważniejszych portów hiszpańskich w okresie kolonialnym i jednym z najbogatszych miast Ameryki. Właśnie tu przywożono z Afryki niewolników do pracy na plantacjach. Wielu ich potomków mieszka w pasie wybrzeża karaibskiego, ale i nad Pacyfikiem. Wytworzyli specyficzną kulturę, pieśni, tańce, z których najbardziej znany w okolicach Cartageny nazywa się *cumbia*, szybki, zmysłowy, rytmiczny, tańczony przy blasku świec. Mieliśmy okazję przyjrzeć się, jak tańczono *cumbię* wieczorem na plaży. Słowa są, oczywiście, hiszpańskie.

Cartagena

Sporo zostało jeszcze z dawnej świetności Cartageny. Wszędzie w starej części widać ślady architektury i sztuki kolonialnej, o wyraźnych cechach mauretańskich: pięknie toczone w drewnie okienne kraty, belkowe sklepienia, przeżarte obecnie morską solą niczym liszajami blanki, wieże strażnicze na murach. Wzrok wabią stare latarnie na rogach wąskich uliczek, łuki, arkady, dziedzińce klasztorne, wspaniała kopuła i obie bliźniacze wieże osiemnastowiecznego kościoła św. Piotra Clavera, patrona ludności kolorowej. Najciekawszy jest chyba Pałac Inkwizycji z

1610 roku, z interesującym głównym portalem w stylu baroku kolonialnego, ozdobionym insygniami monarchii hiszpańskiej. Wewnątrz cieniste patia z ustawionymi działami i stosami kul armatnich, a w muzeum narzędzia tortur Świętej Inkwizycji. Na ścianie frontowej piękne drewniane balkony o dachach wspartych na smukłych kolumienkach. Belki pod dachami i na spodzie balkonów otoczonych od ulicy misternie cyzelowaną drewnianą balustradą. Czy może być wdzięczniejsza architektura pod tym rozżarzonym do białości niebem? Tak, bo niebo już nie jest tutaj błękitne, lecz białe od żaru słonecznego.

Cartagena de Indias

Cartagenę zapamiętałem jako jedno z najbardziej upalnych, może wręcz najbardziej upalne miejsce, w jakim zdarzyło mi się przebywać kiedykolwiek. Zaduch był nieziemski, a przecież miasto leży nad samym morzem. Cóż z tego! Morze z murów obronnych wyglądało jak szeroko rozlana zupa niemal buchająca

gorącą parą! Nie czuło się ani odrobiny jakiegokolwiek ożywczego powiewu od strony morza! Rosario, widząc tyle śladów niegdysiejszej potęgi Hiszpanii, dostała w Cartagenie ataku nostalgii za daleką ojczyzną. Jej też doskwierał upał. Oboje na zdjęciach wyglądamy jak skwierczące na oliwie, nieźle już podsmażone krewetki.

Odnaleźliśmy też – a jakże! – pomnik Starych Butów (*Monumento a los Zapatos Viejos*), z kamienną płytą, na której widnieje tekst ody poświęconej w 1928 roku miastu. Jej autor, Luis Carlos López, poeta kolumbijski rodem właśnie z Cartageny, pisze w tym wierszu, że choć dawna chwała przeminęła, miasto wzbudza takie same ciepłe uczucia jak para starych butów. Jeden z tych butów stoi, a drugi leży na boku, niby niedbale porzucony w kącie. Oboje z Rosario uznaliśmy, że – niezależnie od tej całej metafory – to piękny pomysł wybudować pomnik starym butom.

Cartagena, Forteca Św. Filipa z Barajas, pomnik Starych Butów.

Cartagena była ostatnim etapem naszej podróży po Kolumbii. Gdy wróciliśmy po tygodniu do Caracas, przywitał nas w domu ostry zapach doszczętnie zeschłych kwiatów, w niczym nie przypominających tych wspaniałych bukietów wręczonych nam

po ślubie. 2 października 1972 roku zacząłem moją pracę w Wyższym Instytucie Pedagogicznym. Prowadziłem seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Zakładzie Języka Hiszpańskiego, Literatury i Łaciny. Moim bezpośrednim szefem był językoznawca Luis Quiroga, bardzo poczciwy i uczynny człowiek, wówczas w średnim wieku (zmarł we wrześniu 2012). Z nim właśnie dzieliłem *cubículo*, czyli pokoik oddzielony od innych tylko przepierzeniami i bez sufitu. W tym samym „gabinecie" pracował jeszcze młody lingwista Luis Flores. Czasami przychodzili sprzedawcy nabiału i stając na szczycie schodów wołali ponad przepierzeniami do siedzących wewnątrz: „Panie psorze, może kupi pan śmietanę? Mam świeżutką śmietanę!". Musiałem mieć wyjątkowo zakłopotaną minę, gdy pierwszy raz usłyszałem takie nawoływanie, bo profesor Quiroga z uśmiechem zapytał: „Pewno w Europie nie ma takich zwyczajów?"

Zajęcia odbywały się dość nieregularnie z powodu częstych strajków oraz starć między studentami a policją. Bywało, że aby wejść do budynku Instytutu trzeba było bardzo uważać, aby nie dostać kamieniem. Ich grad spadał na nacierających policjantów, którzy odpowiadali studentom rozpylając obficie gazy łzawiące. Parę razy zdarzyło mi się przebiegać pośrodku całej akcji. Takie ruchawki były w akademickim żargonie nazywane *zaperoco* lub *bochinche* i pojawiały się w zdaniach typu: „Wczoraj znów było ogromne *zaperoco*!" albo „Uważaj, bo przed Instytutem dziś

wielkie *bochinche*!” Można by to przetłumaczyć jako „rozróba”, „draka”. Kiedyś, na samym początku pracy, postanowiłem zlekceważyć te zajścia i zbojkotować strajk. Nalegałem, by zajęcia się odbyły, na co moje studentki, zasłaniając sobie nosy i usta chusteczkami, wołały jedna przez drugą: „Nie, panie psorze! Nie! To bardzo niebezpieczne! Uciekajmy!” Dopiero później ktoś mnie uświadomił, że one miały rację. Otóż takiego właśnie łamistrajka, który uparł się, by przeprowadzić zajęcia, zastrzelono przez okno w trakcie wykładu…

Jacaranda filicifolia

Po kilku nieudanych próbach ze sprzedażą książek po domach, Rosario uległa moim namowom i zaczęła pracować w Ambasadzie PRL jako sekretarka ówczesnego attaché handlowego, pana Mikołajczaka. Niewielkie to były zarobki, ale przynajmniej pewne, a i atmosfera w pracy była dla niej przyjemna. Najgorsze okazały się dojazdy kilkoma autobusami. Traciła na nie dwie godziny w jedną stronę. Wracała często mocno wyczerpana. Ja miałem znacznie bliżej. Od biedy mogłem pójść piechotą, co trwało około 40 minut. De facto często wieczorem wracałem pieszo, natomiast taki spacer w ciągu dnia w upale, zgiełku ulicznym i w kłębach spalin nie był zgoła atrakcyjny. Raz gdy przybiegłem na przystanek autobusowy koło domu, ku mojemu zdumieniu ujrzałem wijące się po chodniku dwa stosunkowo niewielkie srebrzyste węże. Wyglądało, jakby właśnie niedawno się urodziły. Niestety, nadjechał mój autobus i wsiadając doń dostrzegłem jakiegoś malca ciskającego w nie kamieniami…

W listopadzie odwiedziła nas pracująca w Hiszpańskich Liniach Lotniczych „Iberia" kuzynka Rosario, Maribel. Wynajętym samochodem pojechaliśmy z nią do kilku interesujących miejscowości, wśród nich do opisanej wyżej niemieckiej wioski w górach, Colonia Tovar i na plażę w Ocumare de la Costa, około 100 km na zachód od Caracas. Morze jest tam otwarte i mocno rozfalowane, a poza tym wciąga w głąb i bardzo trudno wyjść z wody. Jakoś mi się to udało, ale … bez kąpielówek: fala, która

mnie nakryła tuż przy wyjściu, była tak silna, że odpływając, ściągnęła mi je bezwstydnie. Wypłynęły po chwili na brzeg, parę metrów obok. Wielkie wrażenie robi przejazd przez tak zwaną „dżunglę zamgloną” (*selva nebulosa* lub *nublada*) w górach, na obszarze Parku Narodowego Rancho Grande imienia wielkiego szwajcarskiego botanika Henri Pittiera, który jako pierwszy sklasyfikował poszczególne gatunki flory wenezuelskiej. Mgła wisi nad tą dżunglą prawie stale. Wyłaniające się spoza tej mlecznej zasłony potężne pnie i konary drzew, wysokie paprocie i inne zarośla tworzą wyjątkowo baśniową i tajemniczą dekorację, na którą nie mogłem się napatrzeć!

Los Llanos, Venezuela

Wciąż myślałem o powrocie na moje Wielkie Równiny i jakoś mniej więcej w tym okresie wybrałem się sam do stolicy stanu Guárico, San Juan de los Morros, gdzie odwiedziłem Dom Kultury, a potem dotarłem w okolice El Sombrero i pewien przypadkowo spotkany farmer argentyńskiego pochodzenia oprowadził mnie trochę po swoich włościach. To wtedy zobaczyłem na gałęzi drzewa długiego, intensywnie zielonego pięknego węża, który w Wenezueli zwany jest *verdegallo*,

verdegay (zieleniec) albo *lora* (zielona papuga), a jego łacińska nazwa brzmi *Leptophis ahaetulla*. Osiąga prawie dwa metry długości i nie jest jadowity.

Kolejnym razem namówiłem Rosario i pojechaliśmy we dwoje w tym samym kierunku. Z Caracas do El Sombrero w Górnym Guárico jest bądź co bądź 226 km, więc tłukliśmy się prawie cały dzień częściowo autobusami, a częściowo autostopem i do El Sombrero dotarliśmy wieczorem. Wypadało spędzić gdzieś noc. Nie mieliśmy wyboru: w El Sombrero był tylko jeden hotel i to bez klimatyzacji. Noc okazała się straszliwą męczarnią. Wydawało nam się, że się udusimy, taki był zaduch. Jeszcze dziś robi mi się słabo, gdy sobie tę noc przypomnę. Tu wyjaśniam: u nas w domu też nie było klimatyzacji, ale Caracas położone jest wysoko i noce nie są upalne. Na Równinach sytuacja jest zgoła odmienna: gorąco jest i w dzień i w nocy.

Los Llanos

Nazajutrz, pokonawszy kolejne 86 km na południe, zjawiliśmy się w Calabozo. Ktoś nas poinformował, że w pobliskim El Rastro, 20 km na północ, jest festyn ludowy i w programie między innymi walka kogutów oraz *coleada*, czyli pogoń jeźdźców na koniach za bykiem i powalenie go na ziemię poprzez odpowiednio silne pociągnięcie za ogon. Tyle słów po polsku, a po hiszpańsku wystarczy *coleada* („ogonitwa" ?) i każdy doskonale wie, o co chodzi! W miarę szybko dostaliśmy się do El Rastro i udało nam się obejrzeć oba widowiska. Walka kogutów odbywa się w specjalnym okrągłym budyneczku zwanym *gallera* („koguciarnia"). Pośrodku jest mała arena, na której walczą

zawsze po dwa koguty, specjalnie hodowane i przygotowane do walki. Mają też pióra powyrywane na nogach i pod skrzydłami i odpowiednio długie ostrogi. Publiczność, głównie męska, siedzi amfiteatralnie wokół areny. Podniecenie ogromne, zakłady, dopingujące okrzyki, a biedne koguty dziobią się zawzięcie do krwi i często jeden z nich ginie. Niestety, jest to nadal ulubiona rozrywka latynoamerykańskich wieśniaków, zwłaszcza popularna w Meksyku i całym basenie Morza Karaibskiego.

Znacznie ciekawsza jest *coleada*, bo przynajmniej wymaga ogromnej zręczności, siły i umiejętności zawrotnie szybkiej jazdy na koniu. Wygląda to tak: do podłużnego okólnika (*la manga*) – około 300 m długości na 50 m szerokości – wpuszcza się byka, za którym pędzi 4 – 5 jeźdźców na koniach. Każdy z nich usiłuje chwycić byka za ogon i powalić go. Byk, dobiegłszy do końca okólnika, zawraca i pościg trwa dalej. Publiczność siedzi na trybunach lub po prostu na ogrodzeniu po obu stronach toru gonitwy – „ogonitwy”.

Korkoran

Oba te wypady na Równiny w stanie Guárico podyktowane były także chęcią zebrania materiału językowego z tego obszaru. W pełni udało się to jednak dopiero w pierwszej połowie grudnia, kiedy to kolega z Instytutu, wykładowca literatury latynoamerykańskiej, Buenaventura Piñero, zorganizował nam wyjazd do hacjendy swego teścia, arcysympatycznego pana Rafaela Carvallo. Hacjenda zwie się El Punzón i znajduje się 84 km na południowy wschód od El Sombrero. Zajechaliśmy tam

super wygodnym samochodem Buenaventury, który po drodze w San Juan de los Morros zabrał Carmencitę, siostrę swojej żony. Jakiż komfort w porównaniu z tymi ostatnimi dwiema podróżami! Zdaje się (tak, raczej na pewno!), spędziliśmy tam jedną noc w hamakach rozwieszonych w przewiewnym pomieszczeniu, pod dachem krytym strzechą z liści palmowych. Dach wsparty na krótkich filarach osadzonych w murze sprawiał, że cyrkulacja powietrza była właściwa.

Pobyt okazał się bardzo pracowity. Dosłownie w pocie czoła eksploatowałem obu moich rozmówców, albowiem na moje liczne pytania odpowiadali zarówno właściciel hacjendy, pan Rafael Carvallo, jak i jego pomocnik, Don Claro. Także Buenaventura asystował przy ankietach i wielokrotnie pomagał mi w ich realizacji.

Rosario w tym czasie albo obsługiwała magnetofon, albo gawędziła beztrosko z Carmencitą. Jedyną przerwą była wyprawa do *morichalu*, który moi wspaniali gospodarze postanowili mi pokazać (słowo to pojawiło się parokrotnie w ankietach). *Morichal* to typowy dla Równin lasek w zagłębieniach sawanny. Wśród drzew przeważa palma zwana *moriche* (*Mauritia flexuosa*). Z lasku zwykle wypływa strumyk, który także nosi nazwę *morichal*. Pora sucha, która zwykle zaczyna się w październiku, była jednak już tak zaawansowana, że strumyk zanikł. Przy drodze, w spalonej słońcem wysokiej żółtej trawie

wygrzewały się dwa wielkie zielono-szare legwany (*Iguana iguana*) z najeżonym na grzbiecie grzebieniem. Swym niesamowitym, dość szpetnym wyglądem przypominały jakieś prehistoryczne jaszczury.

Turpiał

Bardzo byłem zadowolony z tej wyprawy. Osiągnąłem w pełni swój cel, a ponadto spędziłem czas w towarzystwie bardzo miłych i gościnnych ludzi. Pochodzący z Wysp Kanaryjskich (a

przodkowie pewno byli Portugalczykami, sądząc po nazwisku) Buenaventura Piñero wyjechał wkrótce na stypendium do Meksyku i nie spotkaliśmy się więcej. Podczas Kongresu Latynoamerykanistów w Bratysławie w lipcu 2004 roku z żalem dowiedziałem się od obecnych tam przedstawicieli Wenezueli, że zmarł bardzo młodo na raka. Wielka szkoda!

Święta Bożego Narodzenia postanowiliśmy spędzić na Wyspie Margarita. Dopiero teraz dość dobrze ją poznałem. Mieszkaliśmy, co prawda, w najmniej ciekawej na wyspie miejscowości, Porlamar, ale bez problemu udało nam się objechać całą wyspę i zobaczyć wszystkie najpiękniejsze plaże, a także kawałek bardzo ciekawego wnętrza Margarity, bo odwiedziliśmy w San Juan Bautista babcię Magaly Boadas, studentki z Instytutu Pedagogicznego, zaprzyjaźnionej z Luisem Floresem. Otóż San Juan Bautista wydało mi się jakąś magiczną, pełną swoistego czaru miejscowością, z gajami palm kokosowych i w ogóle dość bujną tropikalną roślinnością. Hiszpańską, kolonialną patynę ma nie tylko stolica wyspy La Asunción, bo w wielu miejscach rozsiane są małe kolonialne fortece. Trzy najpiękniejsze plaże to moim zdaniem El Agua z lasem smukłych palm kokosowych o przedziwnie powyginanych pniach, Manzanillo – wielka podkowa obrzeżona na obu krańcach wyniosłymi skalistymi klifami i Juan Griego, słynąca z najpiękniejszych zachodów słońca. Byliśmy na tarasie starej hiszpańskiej fortecy właśnie o zachodzie słońca i rzeczywiście

mogę potwierdzić: znów półkolista zatoka, nad nią czerwona tarcza zachodzącego słońca, a z tyłu imponujące szczyty gór sięgających ponad tysiąc metrów tworzą wspaniałą scenerię. Gdy teraz analizuję nasz tygodniowy pobyt na tej rajskiej wyspie, ogromnie żałuję, że nie obejrzeliśmy wielu jeszcze ciekawych miejsc, nie zapuściliśmy się w góry… No cóż, to już w następnym wcieleniu!

Ibis tautaco

Na Wigilię jedliśmy typowe wenezuelskie danie świąteczne, które zwie się *hallaca, hayaca* lub *ayaca*. Drobno zmieloną i ugotowaną kukurydzę miesza się z posiekanym mięsem i mnóstwem dodatków (cebula, czosnek, ostra papryka, cynamon, gałka muszkatołowa i tak dalej), po czym zawija się w liście bananowca tworząc zgrabną prostokątną paczuszkę zawiązaną włóknem roślinnym lub cienkim sznureczkiem. Jest to absolutna delicja! Podaje się zawsze na gorąco, bo jeśli nawet paczuszki przygotowano z dużym wyprzedzeniem – co zwykle się dzieje, gdyż gospodynie przygotowują na Święta ogromne ilości tych specjałów, by potem wymieniać się z rodziną i przyjaciółkami – łatwo je podgrzać w gorącej wodzie. Swoją drogą ta wymiana to wyjątkowo piękny zwyczaj. *Hallaca* jest symbolem wenezuelskości. Przebywając daleko od kraju, stęskniony Wenezuelczyk woła: „Wreszcie w tym roku będziemy jedli *hallacas* w Caracas!". Gdy ktoś jest w niebezpieczeństwie może usłyszeć: „Oj, zdaje się, że w tym roku nie będzie pan jadł *hallacas*". Nie muszę dodawać, że *hallaca* jest przysmakiem wywodzącym się z kuchni indiańskiej, jak wiele innych wyśmienitych wenezuelskich potraw.

Po wieczerzy wigilijnej wyszliśmy na nocny spacer i nie zapomnę, jak rozbawiły nas rosnące przed hotelem kaktusy. Obwieszone kolorowymi migającymi światłem żarówkami pełniły rolę tropikalnych choinek. Wracaliśmy do Caracas samolotem, w którym huczało jak w hali maszyn. Zaniepokojony zapytałem

stewardessę, co to takiego, na co odpowiedziała z rozbrajającą szczerością: „Jest jakaś awaria silnika, ale raczej dolecimy, proszę się nie martwić”. Zaiste nie wiem, jakim cudem ta wściekle warcząca machina nie eksplodowała w powietrzu…

Pożegnaliśmy Stary 1972 Rok, tak obfitujący w niezwykłe wydarzenia i przywitaliśmy Nowy, 1973, u Josefiny Falcón, w jej pięknej willi o nazwie *Mamá Chi* (Mama Józia) w eleganckiej dzielnicy *Colinas de Vista Alegre* (Wzgórza Radosny Widok). Josefina ma bardzo liczną rodzinę, a ponadto zaprosiła moc gości, więc było dość tłoczno, ale sympatycznie. Oczywiście, jedliśmy znakomite *hallacas*, chyba jeszcze lepsze niż na Margaricie. O północy wybiegliśmy na zewnątrz, skąd roztacza się obszerny widok na leżące w dole miasto, które zamieniło się wtedy w jedną olbrzymią strzelnicę. Huk petard, rakiet i nie wiem, czego jeszcze, był ogłuszający. Wszędzie widać było płomienie i kłęby dymu, który wkrótce utworzył nad miastem wielką chmurę. Tak zabawiali się „milusińscy” mieszkańcy stolicy Wenezueli.

Gdy około 4-tej nad ranem Josefina i jej mąż, pan Ovalles, odwozili nas pięknym autem do domu i strzały jakby „już” umilkły, mieliśmy słodką nadzieję, że uda nam się trochę pospać w spokoju. Jakże płonna była to nadzieja! Ledwie wysiedliśmy z samochodu i pożegnaliśmy miłych gospodarzy przyjęcia, z potwornym trzaskiem jęła spadać po balkonach w naszym

budynku gigantyczna kaskada płomieni rozpryskujących się na wsze strony. To tak na powitanie w Nowym Roku! Nigdy czegoś takiego nie oglądały moje oczy i wiele dałbym za to, aby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło. Tak oto „ogniście, płomiennie, a nade wszystko hucznie” zaczynał się dla nas Nowy 1973 Rok.

ciąg dalszy nastąpi

Część I wraz z życiorysem autora:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

Mango

Turpiał